

# GWIAZDY NAS POPROWADZĄ



Bo czasem najjaśniejsze gwiazdy  
rodzą się w ciemności

JENNIFER  
HARTMANN



JENNIFER  
HARTMANN

**GWIAZDY  
NAS  
POPROWADZĄ**

PRZEŁOŻYŁA

Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*The Stars Are On Our Side*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska  
Redakcja: Justyna Yiğitler  
Korekta: Katarzyna Kusojć  
Projekt okładki: Wojciech Bryda  
Zdjęcie na okładce: © natara, © ket4up, © BanklangArtshop / Stock.Adobe.com  
DTP: Maciej Grycz

*The Stars Are On Our Side*  
Copyright © 2024 by Jennifer Hartmann  
All rights reserved.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint  
of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie  
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź  
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody  
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne  
Białystok 2025  
ISBN 978-83-8417-176-9

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | [www.WydawnictwoKobiecte.pl](http://www.WydawnictwoKobiecte.pl)



# 1



# Gabe

Lipiec, pięć miesięcy później

Na pewno można znaleźć godność w większości sytuacji, lecz nie ma jej w nieodwzajemnionej miłości.

To cholernie boli.

Nie ma w tym harmonii, piękna, triumfu. Nie ma nagrody, na którą można ciężko zapracować. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że taka miłość jest przekleństwem – zwłaszcza w chwilach, kiedy promienie słońca otulają ją złotem, podkreślając jej doskonałość, jakby wszechświat chciał mi pomachać marchewką przed nosem i zabrać ją w momencie, gdy zbieram się do jej ugryzienia.

No, może nie marchewką, porównanie jej do marchewki ją obraża.

Ona jest jak bar taco na plaży w kurorcie all inclusive, gdzie słona bryza pieści skórę, a fale rozbijające się o brzeg wygrywają twoją ulubioną pieśń.

Wtem nadchodzi sztorm i wszystko niszczy.

Jesteś nieszczęśliwy, przemoczony i przemarznięty do szpiku kości.

I co najgorsze, nadal głodny.

Tak właśnie wygląda jednostronna miłość do dziewczyny marzeń. Sytuację jeszcze pogarsza fakt, że nie Kocham jej na dystans – przyjaźnimy się.

A nawet więcej. Jestem dla niej niemal wszystkim.

To „niemal wszystko” jest szczególną torturą.

– Na bombę!

Sydney wskakuje do basenu na tyłek. Rozprysk wody odciąga moją uwagę od Tabithy, gdy odgarniam mokre włosy z twarzy. Łypię w stronę basenu. Słońce chowa się za chmurę. Moja najlepsza przyjaciółka od czasów dzieciństwa z piskiem wyskakuje z wody i otrząsa włosy.

– Zimno, zimno, pioruńsko zimno! – skanduje. Jest pokryta gęsią skórką. – Dlaczego jest tak zimno?

Jej narzeczony Oliver – który jest notabene moim przyrodnim bratem – unosi się obok niej na kole w kształcie jednorożca i sączy przez grubą słomkę mus truskawkowy.

– Woda ma tylko dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza – stwierdza z kamienną miną. – Stawiam, że to dlatego.

Sydney go ochlapuje.

Uśmiecham się, przyglądając się dwójce moich ulubionych ludzi rozkoszujących się magią letniego popołudnia. Popijając piwo, osłaniam oczy przed ostrym światłem. Zauważam Tabithę, która podchodzi do basenu i zanurza w wodzie palce stóp. Krzywi się i cofa, czym potwierdza prawdziwość stwierdzenia Sydney, że woda jest pioruńsko zimna.

Dopijam piwo, odstawiam pustą butelkę i podnoszę się z leżaka. Tabitha spogląda na mnie, kiedy ruszam w jej stronę. Uśmiecha się.

Lecz to nie jest taki sam uśmiech jak ten, który ujrzałem przed ośmioma miesiącami, kiedy wkroczyła do mojego domu i życia, bo wybierała się na randkę z Oliverem, która do niczego nie doprowadziła.

Jej oczy się nie uśmiechają.

Ściągam okulary przeciwsłoneczne, żeby pokazać, że w moich uśmiech jak najbardziej jest obecny.

– Dalej, Tabs – rzucam, człapiąc głośno bosymi stopami po chodniku. – Wskakuj. Jeśli chcesz, mogę cię popchnąć.

– Woda jest lodowata. – Śmieje się lekko. Poprawia kucyk czarny jak skrzydło kruka. – Muszę się oswoić.

– Nie. Tak jest gorzej. Trzeba wskoczyć i przecierpieć pięć sekund. Wszyscy to wiedzą.

Dwuznaczność tej wypowiedzi wywołuje ukłucie w mojej klatce piersiowej. Ona raczej tego nie wie.

Odsuwa się od krawędzi basenu i poprawia cienkie ramiączko miętowego kostiumu jednoczęściowego. Spogląda na mnie oczami z takimi samymi zielonkawymi plamkami.

– Najpierw krem z filtrem. Potem się zastanowię.

– Dobra. – Biegnę na zadaszony taras i zgarniam tubkę kremu z jednego ze szklanych stolików.

Zawsze mam pod ręką zapas kremu z filtrem, zwłaszcza odkąd moi sąsiedzi, Sydney i Oliver, w maju zrobili u siebie basen. Nie spędzam dużo czasu na słońcu z powodu blizny po oparzeniu trzeciego stopnia, do którego doszło siedem miesięcy temu w Boże Narodzenie. Blizna zajmuje sporą część ramienia i szyi i zatrzymuje się tuż pod linią szczęki. Nazywam ją blizną wojenną, ale Sydney twierdzi, że to blizna miłości.

Uratowałem ją z płonącej sypialni. Zasłużyłem sobie tym na prawo decydowania po wsze czasy o tym, co będziemy oglądać na Netflixie podczas naszych maratonów. I na dożywotnie dostawy dipu do taco.

Tabitha idzie za mną na taras, obejmując się rękami, jakby się tuliła. Wyciskam na dłoń sporą porcję kremu i skupiam się na zadaniu, a nie na tym, że widzę kątem oka jej kostium w groszki. A gdy wreszcie podnoszę wzrok, stwierdzam, że patrzy na moją bliznę.

Żadna rewelacja, mimo to ona zdaje się zawsze gdzieś odpływać, kiedy jej wzrok chłonie widok twardej, wyrzuszanej skóry. Oczy zachodzą jej mgiełką i się wycofuje. Przenosi się dokądś.

Nigdy nic sobie z tego nie robię i często przeganiam krótkie napięcie jakimś żartem. Biorę ją za nadgarstek i przyciągam do siebie z uśmiechem.

– Odwróć się.

Mruga, by rozgonić mgiełkę w oczach, i uśmiecha się płochliwie.

– Przepraszam. Odpłynęłam.

Ostatnio często się jej to zdarza.

W ciągu tych ośmiu miesięcy, odkąd ją znam, Tabitha Brighton przygasła. W jej sile pojawiły się pęknięcia, jej barwny duch poszarzał.

Zaczęło się od pocałunku, tchnienia nowego życia.

A skończyło na złożeniu mojego serca w trumnie.

Tabitha chrząka i odwraca się twarzą w stronę basenu w chwili, gdy Sydney wskakuje na Olivera i ściąga go z koła – ledwie udaje mu się uratować koktajl. Tabitha chichocze, widząc, jak Oliver odstawia szklankę na brzegu basenu, a Sydney wskakuje mu na plecy i obejmuje go nogami. Ich śmiech zagłusza muzykę z lat dziewięćdziesiątych sączącą się z głośników.

Zaczynam rozprowadzać krem na ciele Tabithy przy dźwiękach *Sex and Candy* Marcy Playground. Jej biała jak śnieg skóra jest ciepła w dotyku. Przesuwam dłonie po jej ramionach, obojczyku, plecach i przysięgam, że drgnęła, chociaż to pewnie dlatego, że krem jest chłodny.

Wraca do mnie wspomnienie z początku lutego, kiedy siedziała między moimi nogami na podłodze w salonie, a ja opierałem się plecami o kanapę. Masowałem ją dłońmi rwącymi się do odkrywania, serce mi waliło z pragnienia, by się pochylić i pocałować to urocze miejsce tuż za uchem, gdzie ma małe znamię na bladej skórze. Nie przyspieszałem rozwoju naszego związku, bo znałem jej historię i wiedziałem, jakich okropności zaznała z rąk szaleńca.

Wiedziałem też, że już kiedyś kochała i nie będzie mi łatwo dorównać tamtej miłości.

Wydała z siebie westchnienie, przez które krew spłynęła mi w dół, gdy ugniałem mięśnie wzdłuż jej kręgosłupa. Zdobyłem

się na śmiałość, przesunąłem dłońmi po jej ciele, objąłem ją w tali i wtuliłem nos w jej włosy na czubku głowy. W chwili, gdy zaciągnąłem się jej zapachem i też westchnąłem przy jej głowie, zeszywniała w moich objęciach. Wyswobodziła się i mruknęła, że chyba jej córka Hope zapłakała, po czym zniknęła w przedpokoju.

Już jej tamtego wieczoru nie pocałowałem.

Czasami żałuję, że w ogóle to zrobiłem.

Zapach kremu z filtrem i szamponu jaśminowego miesza się z wonią chloru przyniesioną przez ciepły podmuch wiatru. Tabitha wtula się we mnie lekko, jej kucyk łaskocze mnie w brodę. Staram się nie dopatrywać niczego w tym geście. Nie analizuję rwącego się oddechu, który wymyka się jej, gdy przypadkowo muskam palcami bok jej piersi.

I całkowicie ignoruję żarliwe spojrzenie, jakie mi posyła, gdy się odwraca, by mi podziękować zachrypniętym głosem.

Chmury walczą z naporem promieni słonecznych nad naszymi głowami, gdy nasze spojrzenia się spotykają, a potem spuszcza wzrok na swoje klapki. Toczy własną wewnętrzną walkę.

Lubię myśleć, że ta walka ma związek ze mną, lecz nie mogę pozwolić sobie na długie rozważania na ten temat. Złożyłem broń przed pięcioma miesiącami, kiedy dziewczyna, w której się beznaściejnie zakochałem, poddała się swojej mrocznej przeszłości – duchowi innego mężczyzny – i zrezygnowała z przyszłości ze mną.

To była smutna porażka.

Jestem jednak cierpliwym żołnierzem i poczekam. Będę czekał, aż dostrzeże mnie takiego, jaki jestem, i przestanie widzieć we mnie mężczyznę zastępującego jej utraconą miłość.

– Jak już skończysz obłapiać żonkę, chodź tutaj – ryczy Sydney, podskakując w wodzie. – Chcę na barana.

Żonka.

Sydney nawet nie wie, jak mi tym dopiekła. Nie dają tego po sobie poznać. Przywdziewam maskę i puszczam do Syd oko.

– Chwileczkę.

Oliver ściąga brwi i patrzy na nas skonsternowany.

– Barana? – zastanawia się.

– To taka zabawa.

– A skąd my weźmiemy barana?

Parskam śmiechem, a Tabitha wyjmuję mi tubkę z ręki i wyciska porcję kremu na swoją dłoń.

Mój przyrodni brat to ciekawa postać. Przez dwadzieścia dwa lata był odizolowany od społeczeństwa i nadal przejawia tę niewinność kosmity, a do tego mówi z wytwornym akcentem, który wzbudza mój uśmiech nawet w najmroczniejsze dni.

Z cichym chichotem Tabitha unosi rękę. Brązowe jak espresso brwi unoszą się pytająco.

Wyciągam ręce przed siebie.

– Oddaję ci się cały.

Z rumieńcem na policzkach rozprowadza krem z filtrem na mojej bliźnie. Jej dotyk jest delikatny. Badawczy. Skóra mi się rozgrzewa pod jej dłonią, a ona spogląda na mnie za zainteresowaniem. Nie potrafię nie syknąć, wciągając powietrze, jakbym dopuszczał się grzechu.

Odsuwa się. Gardło jej faluje, gdy przełyka ślinę.

– Powinieneś nosić jakiś strój kąpielowy... żeby chronić tę bliznę przed słońcem. Martwię się.

Zawsze się o mnie martwi. I chociaż znajduję w tym pocieszenie, wiem, że to raczej matczyzna miłość i że martwi się o mnie podobnie jak o swoją szesnastomiesięczną córkę, gdy włoży sobie do buzi mały, okrągły przedmiot. Nie jest przejawem miłości, jakiej łaknę.

Nie taką miłością darzyła je g o.

Napięcie wciąż iskrzy między nami, ale ja nie pozwalam, by ogień zapłonął na dobre, tylko wskazuję na basen, żeby zdusić płomień, które by mnie spaliły.

– Twoja opiekunka będzie się zbierać za dwie godziny – przypominam, pilnując, by głos mi się nie łamał. – To są dwie godziny śmiechu, muzyki, przyjaciół i noszenia dziewczyn na barana, bo,

jak się zdaje, znowu mamy po czternaście lat. Zero rodzicielskich zobowiązań, zero jakichkolwiek obowiązków, zero ściągania brwi. Tylko słońko i zabawa. Kumaszc?

Cienie, które przez cały dzień zasnuwały jej spojrzenie, znikają, gdy słońce przebija się przez chmury. Słońce wygrywa.

– Kumam – odpowiada i na sekundę odsłania zęby w cudownym uśmiechu. Potrząsa rękami, jakby pozbywała się cięższej na niej ciemności. – Tylko zabawa.

Patrząc z urzeczonym uśmiechem, jak Tabitha podchodzi do basenu, ściąga japonki i zatrzymuje się przy krawędzi. Tym razem się nie waha. Zamyka oczy, zatyka nos i wskakuje do wody.

Boże...

Jakbym chciał, by tak samo rzuciła się w związek ze mną.

Ten pomysł był do dupy.

Tabitha siedzi mi na ramionach i zaciska uda na mojej twarzy tak, że czuję wdzięczność za lodowatą wodę przepływającą przez moje kąpielówki.

Oliver chwije się naprzeciwko mnie i dźwiga swoją zawodniczkę, a dziewczyny, piszcząc i śmiejąc się, walczą ze sobą na pół gwizdka.

– Oliver, zrzuć mi! – skrzeczy Syd i prawie się zsuwa z jego ramion, ale winą za ten brak równowagi należy raczej obarczyć jej chichot.

– Cóż... – odpowiada napiętym głosem, a ściska jej kolana tak mocno, że aż kostki mu bieleją. – Może... powinnaś przestać się tak wiercić.

– O to chodzi w tej zabawie!

Trzymam przedramionami uda Tabithy, ona zaś splata nogi w kostkach na mojej klatce piersiowej. Kucyk się jej rozpadł jakieś dwie bitwy temu i teraz długie, ciemne włosy opadają kurtyną na moją twarz, a ich mokre końcówki mnie łaskoczą. Gdy zaciska uda, duszę jęk bulgoczący mi w głębi gardła. Sydney zdobywa przewagę i prawie zrzuca Tabithę, która chwyta mnie za włosy, żeby się utrzymać.

Wyrywa się ze mnie jęk. Maskuję go kaszlem.

– Sorki! – piszczy Tabitha przez śmiech. Luzuje dłoń. – Nie chciałam...

Znowu prawie się zsuwa, więc przytrzymuję ją dłonią po wewnętrznej stronie uda, żeby ją ustabilizować. Czuję jej napięcie, wbijam palce w niebezpiecznie miękkie ciało. Moje serce zaczyna pękać.

Dziewczyny się poprawiają i znowu chwytają za ramiona, kołysząc się niebezpiecznie w przód i w tył. Sydney śmieje się tak bardzo, że Oliver z trudem ją utrzymuje.

Wykorzystuję tę chwilę słabości, skręcam się mocno w lewo, w stronę, w którą Syd się zsuwa. Trzymam swoją dziewczynę mocno i obserwuję, jak przystępuje do ataku i ciągnie przeciwniczkę mocno, aż ta wpada do wody z piskliwym okrzykiem.

Syd wynurza się, łapie wielki haust powietrza. Jej blond włosy lśnią w słońcu.

– Cholera.

Oliver wzdycha.

– Wygląda na to, że zostaliśmy pokonani. – Rozczarowany kręci głową. – Wybacz. Złapał mnie skurcz w szyję.

Tabitha wyrzuca ręce w geście zwycięstwa, po czym zsuwam ją po plecach. Odwracamy się do siebie i przybijamy piątkę. Gdy nasze dłonie się rozdzielają, rzuca się na mnie, żeby mnie objąć za szyję i wtulić twarz w zgięcie mojego ramienia. Jej oddech ogrzewa lodowate kropelki na mojej skórze.

– Dziękuję – szepcze. – Chyba tego potrzebowałam.

Patrzę w oczy Sydney nad głową Tabithy. Syd znacząco porusza brwiami.

Wyznałem jej dopiero niedawno, że mój związek z Tabithą z romantycznego przeszedł w platoniczny. Moja najlepsza przyjaciółka od kilku miesięcy była w siódmym niebie, sądząc, że wreszcie znalazłem swoją połówkę, i to w tym samym czasie, gdy ona odzyskała swoją bratnią duszę z dzieciństwa.

Wszyscy byli szczęśliwi i rozkwitali błogo. Dlatego tak trudno było mi to wyznać.

Zawsze byłem sam. Bynajmniej nie widziałem w tym powodu do dumy, ale tak było mi łatwiej. Nigdy nie radziłem sobie z emocjami i uważałem, że prawdziwa więź jest ulotnym ideałem istniejącym wyłącznie w filmach i książkach. Do czasu pojawienia się Tabithy.

Co ciekawe, Sydney nie dała się przekonać. Stwierdziła tylko, że Tabitha potrzebuje czasu. Cierpliwości. Oznajmiła, że według niej z pewnością jesteśmy sobie pisani, a każde spojrzenie Tabithy w moją stronę wyraża coś głębszego niż platoniczne uczucie.

Chyba chciała mi dać odrobinę nadziei.

Tyle że nadzieja może albo ratować, albo dobić. Nie sposób stwierdzić, jak to się potoczy. Czas pokaże, a on jest tak samo nieprzewidywalny jak nadzieja.

Tabitha mnie puszcza. Nasze spojrzenia się spotykają, kiedy się odsuwa, a ja udaję, że nie dostrzegam takiego samego błysku nadziei w jej oczach. Odgarnia kosmyk kruczoczarnych włosów za ucho. Oddala się ode mnie tanecznym krokiem i lekko się uśmiecha.

– Pójdę sprawdzić, czy Mandy do mnie pisała – mówi. – Muszę się dowiedzieć, co słyhać u Hope.

Potakuję, a ona podchodzi do drugiego końca basenu.

Gdy nie może już nas usłyszeć, Sydney podpływa do mnie i daje mi kuksańca w ramię.

– Doprowadzacie mnie do szału. Mam wrażenie, jakbym oglądała serial, w którym główni bohaterowie się w sobie kochają, ale scenarzyści przeciągają akcję, żeby nas torturować. Jesteście jak Mulder i Scully. Albo Buffy i Spike. – Wykrzywia usta. – Od tej pory będę was nazywała „Spuffy”.

Kwituję to pomrukiem zmieszonym z parsknięciem. Syd ma obsesję na punkcie lat dziewięćdziesiątych.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

– To się wydaje nieuniknione – przyznaje Oliver. – Serce to skomplikowane zwierzę. Czasami pragnie, a czasami cierpi z pragnienia. – Przysuwa

się do brzegu basenu i opiera na łokciach. – Jeżeli w ciągu ostatnich kilku miesięcy nauczyłem się czegoś o ludziach, to tego, że pragnienie zwykle wygrywa. Jest zbyt potężne, by trwać w uśpieniu.

Nadzieja.

Przestańcie dawać mi tę pieprzoną nadzieję.

Zanim zdążę ich wykić, piosenka się zmienia i beztrouski nastrój pryska.

Nie od razu się orientuję, co się dzieje. Zauważam, że Tabitha staje nad basenem jak wryta. Szttywna jak kolek.

– Hej, Tabs! – wołam do niej z uśmiechem, bo inaczej nie potrafię. – Dobrze się czujesz?

Sydney zauważa jeszcze mniej niż ja, bo wymachuje rękami do muzyki zagłuszającej miłosne trele ptaków.

– Uwielbiam ten kawałek.

To Radiohead. *Karma Police*, o ile dobrze pamiętam.

– Tabs.

Nie odpowiada. Nie odrywa wzroku od telefonu Sydney leżącego na pobliskim stołku.

Podchodzę do niej szybko, kładąc po drodze okulary na brzegu, i wychodzę z basenu.

– Tabitho – powtarzam już z troską.

Nadal jest nieobecna. Mrok czai się w jej oczach, jakby czerń żrenic chciała pochłonąć każdą drobinę czekoladowego brązu i energicznej zieleni.

Sydney ryczy tekst piosenki w wodzie za mną, kołysząc się w przód i w tył.

– Odezwij się do mnie. – Dotarłszy do niej, wyciągam rękę. – Hej...

Trwa nieruchomo.

Delikatnie zaciskam palce na jej ramieniu.

– Czy...

Przeżywam szok, kiedy wydaje stłumiony okrzyk, obraca się i pcha mnie w klatkę piersiową, aż się cofam i wpadam do wody z wielkim

pluskiem. Szybko się wynurzam i plując, odrzucam grzywkę z oczu. Przecieram dłonią twarz, patrząc na Tabithę z niedowierzaniem.

Oczy ma jak spodki.

Robi się błada jak ściana.

Zaczyna drżeć, trząść się, cofa się ode mnie o krok, a jej piskliwy skrzek jest przesycony przerażeniem.

– O Boże... Przepraszam...

Nie wiem, czy do niej podejść, czy się wycofać.

Wygląda, jakby się jej robiło niedobrze.

– Przepraszam – rzuca rwącym się szeptem, odwraca się na pięcie i ucieka.

Ruszam za nią. Muszę.

– Tabs! – W moim głosie pobrzmiwa głęboka troska, serce mi galopuje ze strachu. Wyskakuję z wody. Pędzę za nią po trawniku, w stronę mojego domu stojącego na lewo od nas. – Tabitha, zaczekaj!

Biegnie dalej. Wreszcie pada na kolana w pobliżu podjazdu, zwieszając głowę i zaciska pięści na źdźbłach trawy.

Zatrzymuję się, klękam i nie tracąc czasu, biorę ją w ramiona.

Zaczyna szlochać.

Cierpienie zalewa jej ciało, które dygocze rozpaczliwie, gdy ją tulę.

– Hej, hej, wszystko jest dobrze – szepczę przy jej uchu, całuję jej skroń. – To była tylko taka chwila. Moment. Nic ci nie jest.

Kiwa głową na boki i wbija mi paznokcie w ramiona.

– Nie. N-nie mogę już. J-jest coraz g-gorzej. – Pociąga nosem bliska hiperwentylacji. – Boże, Gabe...

Robię to, co zawsze, gdy rozkleja się w moich objęciach i zalewa mnie łzami. Obejmuję dłońmi jej twarz, gładzę kciukami skórę za uszami i się przysuwam, by szepnąć:

– Cśśś. Zamknij oczy.

Robi to. Zawsze to robi.

– Latasz – mówię delikatnie, wciąż ją gładząc i tuląc. – Jesteś wolna. Jesteś bezpieczna.

Kiwa potakująco głową, oddech zaczyna się jej uspokajać, ciało się rozluźnia, powieki lekko drżą.

– Nie patrz w dół, dobrze?

Znowu potakuje. Robi wdech.

I wydech.

– Nie patrz w dół.

Przestaje dygotać, luzuje uścisk dłoni.

Całuję ją w głowę, przytulam do niej policzki i gładzę ją kciukami tak długo, aż odzyskuje spokój.

Na początku jej ból był tylko duchem. Błyskał w jej oczach od czasu do czasu, gdy zapadało między nami długie milczenie albo kiedy zbyt długo wpatrywała się w gwiazdy.

Teraz jednak stał się żywym bytem.

Żywe byty mają puls, wolę, bijące serce. Mają pazury i ostre zęby. Nie sposób przewidzieć, co takie żywe coś zrobi.

Tabitha odchyła się do tyłu, oczy ma czerwone i lśniące od łez. Wpatruje się we mnie przez chwilę. Podmuch wiatru porывa ze sobą jej włosy, wprawia gałęzie nad nami w powolny taniec. Liście i płatki kwiatów opadają łagodnie i lądują obok nas.

Tabitha podnosi z trawy różowy pączek i gładzi go palcami.

– Zrobię to, Gabe – mruczy, patrząc na mnie. Po policzku spływa jej łza, która się zatrzymuje w kąciку ust. Zlizuje ją i rozchyła usta w rwącym się oddechu. – Porozmawiam z pisarzem. Chcę mu opowiedzieć swoją historię.

Mrugam oczami.

Nie spodziewałem się, że to zrobi. Twierdziła, że by ją to prze-rostło, byłoby za trudne, zbyt wiele by obudziło.

Muskam kciukiem jej policzki.

– Jesteś pewna? – pytam szeptem.

– Tak.

– A jeśli... – Dopada mnie panika. Miejscowi się na wysokości gardła, zaciska się na nim pętlą. Wgryza mi się w klatkę piersiową i sprawia, że kolejne słowa mają kwaśny posmak. – A jeśli cię stracę?





Na ustach Tabithy pojawia się cień uśmiechu.

– Już jestem stracona – odpowiada i spogląda na pączek tkwiący pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Nowe życie, które czeka, by rozkwitnąć. – Muszę się tam udać, żeby móc tutaj wrócić.

# SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe  
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe\_serca